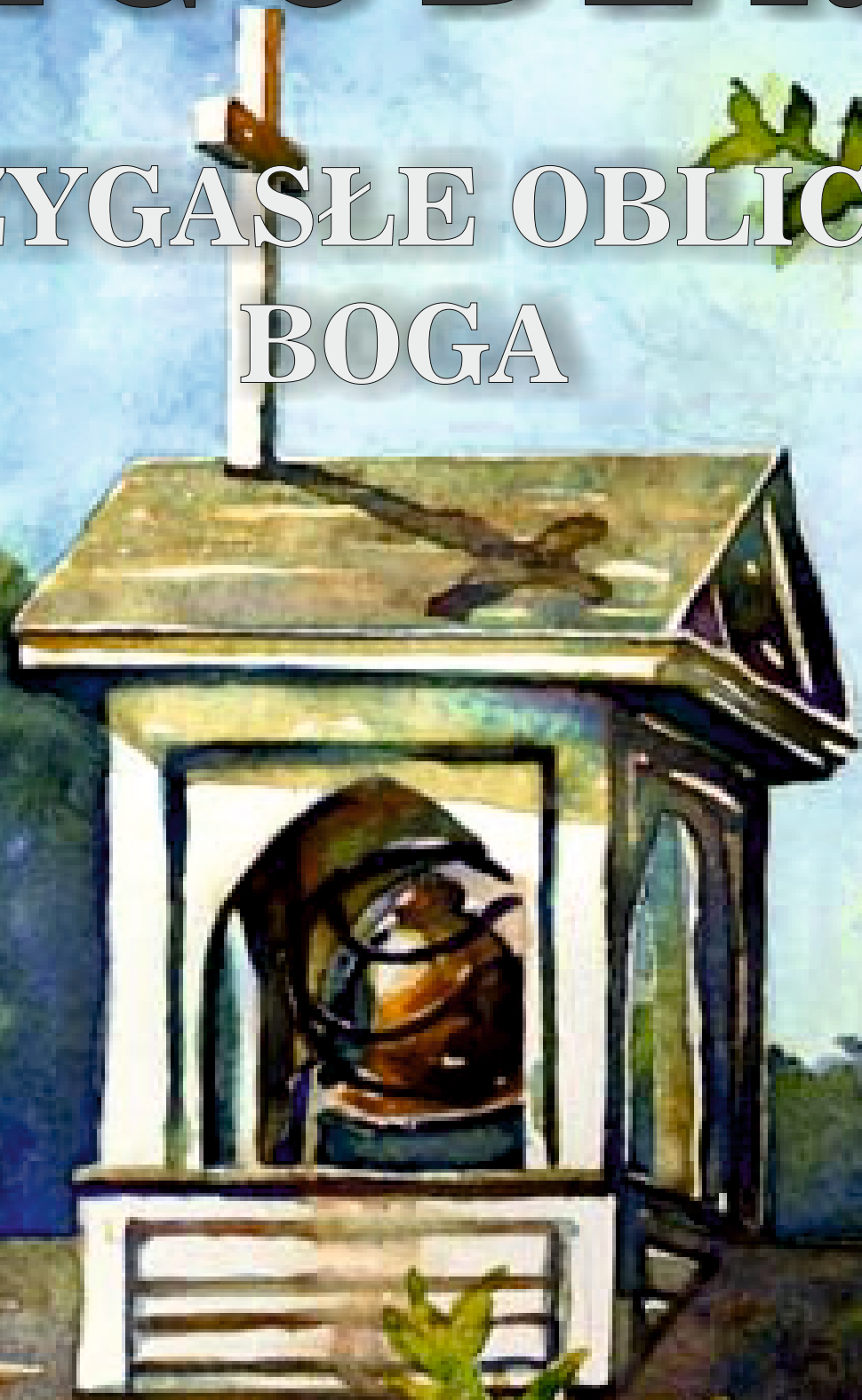


DAGOBERT

PRZYGASŁE OBLICZE BOGA



Jan Izydor
Korzeniowski

Tom II

Jan Izydor Korzeniowski

Dagobert

Przygasłe oblicze boga

Tom 2

W dźwiękach dzwonów

Jan Izydor Korzeniowski

*Dagobert. Przygasłe oblicze boga.
Tom 2 W dźwiękach dzwonów*

© Copyright by haveanicEbook.pl

ISBN 978-83-64820-11-3

Redaktor prowadzący
Katarzyna Kłoś

Korekta
Liliana Skolimowska

Praca na okładce
Jenifer Brock

Projekt okładki
Tomasz Toruński & haveanicEbook.pl

Wydawca

Wydawnictwo Internetowe haveanicEbook.pl
www.haveanicebook.pl
kontakt@haveanicebook.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy
zabronione.

Wydanie I 2015

Rozdział I

Robiło się już ciemno, nadchodziła noc, kiedy brat Szymon z Olga weszli do pałacu Rodryka. Strażnicy znali już mnicha i przepuszczali go schylając głowy przed tym świętym mężem, który z Ziemi Świętej przywędrował. Każdy z nich ścisnął w zanadrzu kawałki z głazu rozbitego przez anioła. Szymon zaś nie tylko sprzedał im kamienie, ale udzielił błogosławieństwa i obiecywał zbawienie. Było i tak, że i miedziaki dawał, aby mogli za co pojechać grobu Chrystusowego bronić. Zawsze mu towarzyszyła Olga, opiekunka więzionej młódki, przywiezionej ze wschodu, z kraju barbarzyńskiego.

Brat Szymon, klepnął po ramieniu strażnika i rzekł wznosząc oczy ku niebu.

– Zaprawdę powiadam ci, hultaju, że dzisiaj miałem widzenie... Przyszedł do mnie anioł, ten sam, co rozbił złocistym mieczem gład, na którym odbił swoje święte nóżki nasz Pan Jezus, i uśmiechnąwszy się do mnie promieniście powiedział: „Podejdiesz dzisiaj do jednego z tych, co to na straży stoją, i powiesz do niego *ave*, a on niech klęknie i odpowie tym samym *ave*... Wybierz najdzielniejszego, według własnego sumienia, a ten, któremu położysz dłoń na ramieniu bogactwem się cieszyć będzie, wielkim rycerzem zostanie, przy grobie Pana zasiądzie i władze mieć będzie”... – mnich zamilkł jednym okiem spojrzał na padającego na kolana strażnika. – Ciebie wybieram... jak ty się nazywasz?

– Hamer, panie... – wyszeptał strażnik.

– A więc, mój dobry rycerzu, ciebie wybieram, kładąc dłoń na twym ramieniu...

– Panie, nie jestem godzien – zadrżał strażnik i chwycił rąbek habitu przyciskając go do ust.

– Słyszałeś wszak, że to mnie kazał anioł wybrać, więc wybrałem... Mówię do ciebie *ave*. Powtórz zatem, co mówię, niech rozkazy anioła się spełnią!

– Ave – wyszeptał cały dygocąc z przejęcia strażnik.

– Amen. Jutro czekaj na znak, jaki ci będzie dany i pójdz za tym znakiem. Chwała Panu!

– Chwała Panu! – wyszeptał strażnik. Drugi strażnik słuchał ich w milczeniu. Widząc wielkie rzeczy, jakie się na jego oczach dokonują, skłonił się nisko Aaronowi i zapytała z nadzieją w głosie.

– Panie, czy w twoich snach nie było nic o mnie, wszak i ja chciałbym godności dostąpić, starszy jestem od niego, dawno już chrzest przyjąłem...

Mnich otworzył oczy i patrzył w milczeniu na pokornie stojącego strażnika. Nagle ryknął głosem, jakiego nikt by się po nim nie spodziewał.

– I ty chcesz anielską nagrodę dostać, mojej łaski dostąpić? A kto to ostatnio nie chciał mnie wpuścić, kto wybrzydzał, kto grafowi chciał meldować? Ze słowem Bożym do niebogi przyszedłem, a wy jakbyście pierwszy raz mnie widzieli! Kto słowom Olgi nie wierzył? Kto to przez ciebie musiał łyżać, jak nie ta dobra niewiasta? Patrzcie na nią, jak twarz chustą zasłoniła, aby pokutę za wasze grzechy odbyć i ofiarę z siebie dać. Przez trzy dni ma chodzić z zasłoniętą twarzą, nie jeść, nie pić, wzroku ludzkiego unikać...

– Wybaczcie, panie, bo zgrzeszyłem... Nie znałem was, szlachetny panie...

– A zgrzeszyłeś niewiarą, nicponiu, łotrze. Może i teraz moim słowem nie wierzysz? Olgo podejdź tu, i rzeknij świadectwo, że widzenie miałem!

Stojąca dotąd na uboczu Olga podeszła kilka kroków i ucałowała przez chustę dłoń mnicha.

– Prawdę mówisz, ojczyste Szymonie. Anioł przez ciebie przemawia – wyrzuciła stłumionym sukniem głosem.

– Wierzę wam, panie, wybaczcie – kajał się strażnik.

Aaron uśmiechnął się dobrotnie.

– Uratuję twoją duszę, bo widzę, że pokory ci nie brakuje. To dobry znak. Jutro ma przyjść do mnie anioł, jak obiecał, może mi się uda coś ubłagać i dla ciebie...

– Panie!

– Nie dziękuj! Lepiej oddaj mi krążek z miedzi, który ci dałem wczoraj, wszak go jeszcze masz?

– Mam, panie.

– To dawaj! Kupię za niego świeczkę i zapalę na ołtarzu w kościele, gdzie anioł mi się ma pokazać. Powiem mu, że to od ciebie, uwierzy mi, bo ja świadectwo dam prawdzie.

Strażnik wysupłał ze skórzanego woreczka, wiszącego mu u pasa miedziany pieniądz i oddał go mnichowi.

– Dobrze. A teraz pójdziemy do niewolnicy, aby nauczać ją naszej świętej wiary i do chrztu doprowadzić. W tym dziele i wy, moi bracia, łotry nic warte, udział mieć będziecie, ku chwale naszego Pana. Gdy już wrócimy, dam wam po miedziaku, byście mogli po służbie wychylić kufelek piwa za mnie, wszak powiedział Pan, że nie samym chlebem człowiek żyje.

– Amen! – odpowiedzieli równocześnie strażnicy.

Duże okna rzucały słabe już światło na posadzkę i ściany korytarza. Pośrodku ściany wisiała tarcza ozdobna, ze znakami rodowymi Rodryka: głową wołu z rogami, a nad nią hełm z pióropuszem, do którego dowiązано czerwoną wstążkę; całość okalał otok o wzorze szachownicy. Obok herbu, po lewej i prawej stronie wisiały portrety mężczyzn z wylupiastymi oczami, o twarzach do ludzkich niepodobnych. Pałac praktycznie zamieszkały nie był, stał pusty. Bez mieszkańców robił raczej ponure wrażenie. Rodryk go nie lubił, nigdy w nim nie przebywał, wołał zamek nad jeziorem, gdzie wydawał uczty ilekroć wracał z dalekich wypraw łupieżczych. Pałac miał jednak tę zaletę, że był blisko dworu margrabiego i świetnie nadawał się na więzienie dla bogatych więźniów, za których Rodryk mógł otrzymać dobry okup.

Za drzwiami, za którymi znikli Aaron i Olga, panowała cisza. Strażnicy szeptali do siebie czyniąc gwałtowne ruchy. Wydawało się, że pełni gniewu skoczą sobie oczu z pięściami - widać musieli się pokłócić mocno. Starszy szarpał młodszego tłumacząc, że jemu należą się dwa miedziaki, gdyż jeden musiał oddać na świeczkę w kościele, na co młodszy nie chciał się zgodzić. Na próżno mu starszy tłumaczył, że czeka go bogactwo, więc po co mu marny miedziak?

Księżyc już dobrze wszedł i zaglądał przez okna oświetlając korytarz, kiedy otworzyły się drzwi i wyszedł z nich mnich, za którym dreptała Olga. Brat Szymon już od drzwi ryczał.

– Co tak stoicie, jakbyście mieli sobie gardła poderżnąć? My tu z Olgą miłości was uczymy, do dobra chcemy doprowadzić, a wy do siebie jak koguty skaczeć. W Ewangelii jest powiedziane, że człowiek człowiekowi niech kogutem nie będzie, nicponie jedne. Podam wam krzyż, który ucałujcie na

zgodę! – to mówiąc Aaron wyciągnął drewniany krzyż wiszący mu na sznurze przy biodrze. Strażnicy posłusznie ucałowali krzyż, żegnając się przy tym nabożnie.

– Klękajcie teraz, to was pobłogosławię! – Aaron zerknął ukradkiem na opatuloną Olgę dając znak, by skierowała się ku wyjściu. Pochylił dłonie nad głowami strażników i zaczął długo coś mamrotać, po czym zrobił znak błogosławieństwa mówiąc.

– Będziecie zbawieni, bowiem w dobru uczestniczycie, sami o tym nie wiedząc. Błogosławię was. Wstańcie i tam pod ścianą zmówcie modlitwę, jaką umiecie... Trzy razy ją odmówcie, a potem jeszcze raz, by zasłużyć na to błogosławieństwo i odpuszczenie grzechów... Łotry, nie wiem dlaczego ja wam tyle dobroci okazuję, nikomu dotąd tyle łaski nie wyświadczyłem, co wam. Polubiłem was, za waszą głupotę... A do komnaty nie wchodźcie, bo branke nauka zmęczyła i zasnęła ... Zostańcie z Bogiem!

– A miedziaki, bracie Szymonie? – zawołał starszy przerywając modlitwę.

– Prawda! Byłbym zupełnie zapomniał – Aaron sięgnął po mieszek i wysupłał miedziane monety. – Macie tu trzy, podzielcie się!

Rzucenie na posadzkę trzech monet było przez Aarona przemyślane, liczył bowiem, że strażnicy, nie wiedząc komu się należy trzecia moneta, zaczną się o nią kłócić. Miał rację. Ledwo zamknął drzwi za sobą, kiedy doleciały go głosy sprzeczki i przekleństwa. Ale to go już nie interesowało. Spieszył się. Przed pałacem, od podwórka, czekała na niego jego towarzysza.

– Szybko! – musimy uciekać. Jak się czujesz, córeczko?

– Jeszcze jestem słaba, daleko nie pobiegnę. Duszę mam na ramieniu...

– Nic to, byle sił starczyło. Tam za płotem ukryłem dwa konie. Biegnijmy do nich!

Do koni nie było daleko. Po minięciu zarośli ogrodu, odnaleźli furtkę, za którą było kilka drzew - do jednego z nich przywiązane i osiodłane były konie. Aaron rozejrzał się niespokojnie wokoło. Nie widząc i nie słysząc nic, co mogłoby budzić niepokój, zdjął z jednego z koni torbę i wyjął z niej chłopięcy strój.

– Przebierz się szybko, córeczko, zrzuć te ła chy Olgi, wdziej strój młodzieńca, którego udawać teraz musisz... Nie wahaj się, rób co mówię. I ja powinienem zdjąć habit, bo stał się teraz trefnym, pewnie mnicha szukać będą. Musimy stąd odjechać jak najszybciej.

– Gdzie pojedziemy? – spytała Miłka, gdyż ona to była w przebraniu Olgi, która w łóżu została zamiast chorej.

– Nie martw się, znam ten kraj na wylot, w pobliskie bory uciekać musimy. Mam tam znajomych zamieszkałych głęboko w lesie, tam się schowasz...

– A ty, Aaronie?

– Ja muszę wrócić, aby twojemu bratu, Radomirowi, dać znać o twojej ucieczce...

– A Dobromir?

Aaron odwrócił się i nie odpowiedział nic. Przebierali się w milczeniu. Ciszę przerwała szeptem Miłka.

– Co to za ludzie, u których mam się schować?

– To Dziadoszanie, ludzie twojej wiary. Węgiel wyrabiają, polują i z tego żyją. Przed ludźmi Gerona się skryli.

Miłka spięła włosy i schowała pod czapkę.

– Jestem gotowa.

Aaron z trudem dopiął kaftan mrucząc z niezadowolenia.

– A mówili, że dobry będzie na mnie, a jest ciasny, a niech to! Szkoda było dawać świętego kamienia za taki ła ch – kłał cicho.

Starą odzież wcisnęli w krzaki i dosiedli koni. Wjechali na pustą, brukowaną ulicę z niskimi domami, kontrastującymi biedą z bogactwem pałacu i jego ogrodem. Dopiero teraz Miłka zorientowała się, że konie miały owinięte szmatami kopyta, aby jadąc przez ulicę nie robić hałasu. Szczęśliwie dotarli do granic zabudowań omijając rogatki. Aaron widać dobrze znał rozkład i miejsca kontroli wyjeżdżających i wjeżdżających do miasta, gdyż jechał pewnie, bez chwili wahania kierował konie w sobie znane zakamarki i szczyby. Wjechali na pola, wprost w ła ny zbóż. Tu odwinęli koniom kopyta i ruszyli galopem.

Aaron pił i nie dawał wytchnienia. Miłka prosiła o odpoczynek, gdyż choroba ją osłabiła, ale się nie zgodził, chcąc jak najszybciej osiągnąć

puszczę. Konie w ciemności potykały się o nierówności terenu, gałęzie i głązy wpadając do rowów. Brnęli jednak dalej. Księżyc oświetlał im drogę. Nad ranem, kiedy słońce zaczęło wspinać się od horyzontu, dotarli do gęstego boru. Dukt był wąski, pełen połamanych gałęzi, widać mało uczęszczany. Tu zwolnili. Miłka podziwiała swojego wybawiciela, pomimo mroku jechał śmiało, jakby tu mieszkał i znał teren od dziecka.

Na małej polance, koło omszałych głązów, stanęli na popas. Koniom musieli dać odpocząć i sami byli bardzo znużeni. Usiedli pod wysoką sosną. Aaron wyciągnął spod siodła chleb i słoninę oraz skórzaną torbę z winem. Miłka była tak zmęczona, że ledwo zdołała cokolwiek przełknąć. Aaron rzucił na nią wzrokiem, raz i drugi, potem się odezwał, jakby do siebie.

– Straciłem wiele na tym. Wszystko, co dobrzy ludzie dali za święte kamienie, sporo wydałem na konie, uprząż i te stroje. Nie są najlepsze, to prawda, ale były drogie... – znowu zerknął na Miłkę, której kleiły się oczy. Twarz miała blada, oczy jakby mniejsze, mniej podobne do błękitu nieba. Pomimo zmęczenia i przebytej choroby nic nie straciła z urody: miała piękne włosy, pełne, nie za duże ładnie wykrojone usta, nos mały, zgrabny i długa szlachetną szyję. Głową poruszała wolno, dostojnie, niczym wielka dama, lecz nie wskutek pychy lub ćwiczeń, lecz z wrodzonego sposobu bycia.

– „Nadaje się na żonę kniazia! Ho, ho, piękną żonę będzie miał Czcibor. Będą mu jej wszyscy zazdrościć! Jeśli ujdziemy z życiem...” – pomyślał Aaron, a głośno zaś dalej lamentował.

– A ile straciłem, miałem tyle jeszcze świętych relikwii do sprzedania, handel tak dobrze szedł... Kto mi to wszystko wróci? – jego wzrok prześlizgnął się po ciągle milczącej Miłce. – Aby przyjechać do tego złodziejskiego kraju o mało życia nie straciłem! Wozy z towarem i bursztynem przepadły, wszystko te łotry zabrali. Mnie sponiewierali, krzyż na ciele wypalili! Jednak, gdybym tu nie był, zginęłabyś, niebogo... Czcibor wielki pan, złota ma dostatek. Pewnie nie poskapi...

Aaron przerwał widząc, że Miłka zamknęła oczy. Westchnął głęboko i mruknął:

– Taka to sprawiedliwość. Aaron narażać się może, ale jak przyjdzie mu podarować trochę złota, to śpią...

Las budził się do snu, gdyż tu i ówdzie rozlegał się świergot ptaków. Na polankę wyszły dwie sarny strzygąc uszami. Konie parsknęły niespokojnie, widać coś zwęszyły, może wilka lub lisa. Sarny błyskawicznie znikły w gąszczu krzaków. Drzewa były nieruchome, nie było najmniejszego wiatru. Zapowiadał się upalny dzień.

Aaron pociągnął spory łyk wina i zawiązał torbę. Spojrzał na Miłkę w przekonaniu, że śpi. Dziewczyna jednak poruszyła się nagle i wyszeptała na tyle głośno, by słyszał to Aaron.

– Będziesz wynagrodzony...

Szeroki uśmiech wszedł na twarz Aarona, jego małe oczy zwięzły się jeszcze bardziej tworząc szparki. Poglaskał się po brzuchu, podrapał po łysinie i uderzył w przewrotny ton.

– Córeczko, moja najdroższa, wiesz jak cię miłuje! Zawsze dobre słowo Aaron od ciebie i twojej rodziny miał, strawę zawsze mu ktoś podał, noclegu nie odmówili, towar kupili... Ja i bez tego bym cię ratował, nie o nagrodę chodzi, pieniądze, cóż to są pieniądze? To tylko metal... Aaron jednak biednym jest, jeśli szepniesz słówko do kniazia, to nie zaszkodzi trochę złota. Słyszysz?

Miłka jednak już nic nie słyszała. Znowu zmorzył ją sen.

Słońce już wysoko stało, kiedy Aaron obudził Miłkę.

– Otwórz oczy, córeczko, wilki wyją, konie się niepokoją! Drogi przed nami jeszcze szmat, choć bliżej niż dalej, do wieczora dojedziemy. Odepniesz łuk i kołczan ze strzałami, bo się niepokoję. Pełno zwierza w lesie, świecą oczami, jak latarniami, przekłete... Tylko czyhają, by nam wątroby wygryźć, nie doczekanie ich! Chciałem wcześniej cię budzić, ale tak zmęczona byłaś, że żal było...

– Nie gniewaj się na mnie, Aaronie, jeszcze jestem słaba, ale do sił już przychodzę. Nie będziesz miał ze mną kłopotów...

Miłka przetarła oczy, ubrała czapkę spinając włosy i zarzuciła na ramię łuk, który odczepiła od siodła. Aaron patrzył na nią wzrokiem pełnym zachwytu.

– Piękna jesteś, niczym bogini... – wyrwało mu się niechcący.

Dziewczyna spiekła raka i odwróciła się na pięcie w stronę konia.

– E, daj spokój, jaka ja piękna! Zmęczona, zaspana, zdrożona. Żartujesz, mój dobry Aaronie... Siadajmy lepiej na konie, skoro daleka jeszcze droga przed nami – to mówiąc, wskoczyła na grzbiet koński gotowa do wyruszenia.

Aaron mruknął do siebie.

– Gadaj co chcesz, jednak chciałbym od Czcibora tyle złota za ciebie, ile masz w sobie uroku i krasy...

Za głazami samotnie sterczącymi w ciemnym lesie skręcili na wschód, w kierunku słońca. Las tu był rzadszy, liściasty, łatwiej było się więc poruszać. Duży jeleni zagroził im drogę, wcale się nie bojąc stał i patrzył spokojnie na nadjeżdżających. Dopiero parsknięcie konia go spłoszyło, uciekł łamiąc gałęzie. Teren był płaski i lekko podmokły.

– Będziemy wcześniej niż myślałem! – krzyknął Aaron odchylając głowę do tyłu, by Miłka lepiej słyszała. – Trafiłem dobrze, na drzewach widać znaki...

– Znaki?

– Tak, sam je kiedyś robiłem, jadąc do Dziadoszan.

– Nie widzę żadnych, choć z puszcza obyta jestem.

Aaron zaśmiał się.

– Cóżby to były za znaki tajne, gdyby każdy mógł je odczytać?

Po południu Aaron nagle zatrzymał się i chwycił za uzdę konia Miłki. Zaczął nadśłuchiwać, lecz bór szumiał normalnie, niczego nie zdradzając. Miłka oczami pytała o powód niepokoju.

– Coś mi się wydaje, że coś lub ktoś przemknął między krzakami... Przygotuj strzałę, córeczko, będziemy teraz jechać wolniej, tam do tego rosłego drzewa. Miej oczy i uszy otwarte!

Nie ujechali nawet połowy drogi do wskazanego drzewa, kiedy to jak spod ziemi wyrosła przed nimi dziwaczna postać ludzka, zarośnięta tak, że twarzy nie widać było, a ubrana – pomimo ciepła – w futro, zdarte kiedyś z niedźwiedzia. W dłoni trzymała wielki topór, gotowy w każdej chwili go użyć. Jeźdźcy ściągnęli gwałtownie lejce i zatrzymali konie. Chwilę się sobie przyglądali. Miłka napięła łuk i tak trwała w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

Aaron pchnął konia w kierunku ni to człowieka, ni to niedźwiedzia i będąc przed nim zatrzymał się, zeskakując z konia.

– Witaj Żeroniu, opuść topór, przyda się na niedźwiedzia! – Aaron wyciągnął dłoń do kudłacza, ale ten nawet nie drgnął.

– Kto z tobą? – zapytał ponuro.

– Białogłowa, ukryta pod odzieniem pacholka, wczoraj uciekła z niewoli od grafa Rodryka – odpowiedział spokojnie Aaron wskazując ręką na Miłkę. Ta widząc, że zjawa opuszcza topór, skierowała łuk do ziemi nie wyjmując strzały. Kudłacz milczał uważnie przyglądając się dziewczynie. Odwrócił się w stronę lasu i wydał szczeknięcie lisa. Na ten znak wyszła zza krzaków druga postać, podobna do kudłacza. Aaron ich dobrze znał, byli to bracia, ten drugi młodszy – zdaniem Arona – nieco przygłupi.

– Jesteście sami? – zachrypiał kudłacz do Arona.

– Sami, jak widzisz...

– Widzę.

– Widzę – rzekł ten drugi imieniem Żaba.

– Jedźcie za mną! – powiedział Żeroń.

– Jedźcie za mną! – powiedział drugi.

Posuwali się teraz w czwórce: dwaj piesi kudłacze oraz na koniach Aaron i Miłka. Słońce chyliło się już za drzewa schodząc z górnego pułapu, kiedy przed nimi otworzyła się mała polana, na której stały zabudowania. Były to lepianki wciśnięte w ziemię i ziemią obsypane. Lepianki były bez okien, tylko małe szpary pomiędzy dwoma poziomo osadzonymi belkami mogły izbie dać nieco światła. Z bocznych otworów wydobywał się słaby dym. Wokół panowała cisza.

Przywiązali konie do drzewa. Kiedy weszli przez niski otwór do lepianki, ogarnął ich mrok. Aaron i Miłka nie mogli nic dostrzec. Po chwili wzrok ich przyzwyczaił się do ciemności i stwierdzili, że izba była pusta. Nie było w niej żywej duszy. Palenisko jednak dawało żar, a woda w glinianym garnku była ciepła. Pachniało ziołami – widać ludzie opuścili izbę w pośpiechu, aby chronić się w lesie przed obcymi.

Wyszli na zewnątrz. Starszy kudłacz, Żeroń, uderzył kamieniem o jakiś wiszący metal i rozległ się donośny dźwięk. Jakież było zdumienie Miłki, kiedy z lasu wysypała się gromada dzieci i zbliżyła się do nich. Stanęli w kręgu z ciekawością i z obawą przyglądali się obcym, szczególnie Miłce.

Aaron wyjął zza pazuchy zasuszone pierniki i rzucił dzieciom. Spojrzały łakomie na leżące na trawie ciastka nie śmiejąc się ruszyć. Żeroń kiwnął głową. Natychmiast rzuciły się na podarunek Aarona.

– Takie to nienażarte... – mruknął Żeroń.

– Takie to nienażarte – mruknął Żaba.

Trzy niewiasty weszły do izby, aby zająć się swoimi sprawami.

– To twoje dzieci? – zapytała z uśmiechem Miłka patrząc na starszego kudłacza. Ten podrapał się po głowie i burknął:

– Nasze.

– Nasze – zawtórował mu młodszy również ponuro.

Aaron dał znak Miłce, aby zamilkła.

– Tu kobiety milczeć muszą! – szepnęła. Przytaknęła głową. Obaj tubylcy odeszli kawałek siadając na kamieniach. Aaron usiadł z nimi. Rozpoczęła się narada. W tym czasie dzieci otoczyły Miłkę dotykając z nabożną czcią jej ubrania. Z tyłu za dwoma lepiankami suszyło się mięso wysoko powieszony na drzewie, siadały na nim sikorki wydłubujące kawałki łożu. Gdzieś niedaleko musiał być staw, gdyż słychać było kumkanie żab.

Aaron wstał, podszedł do konia i wyjął z niego kamień. Usiadł z powrotem i wskazując na trzymany w dłoni kawałek skały odłupany od przydrożnego kamienia, tłumaczył kudłaczom jego święte znaczenie. Targ widać był ubity, gdyż rozjaśniła się twarz Aarona. Dał znak Miłce, aby się zbliżyła.

– Moja córeczko najdroższa, ci zacni ludzie żyją tu samotnie chroniąc się przed zbirami Gerona. Mimo całej biedy zachowali szlachetność czynów, dlatego przyjmą cię i dadzą ochronę do czasu, aż ktoś nie przyjedzie po ciebie. Mam nadzieję, że twoja samotność nie będzie długa. Łotry, jednak świętego kamienia nie chcieli, tylko pieniądze im w głowach. Bezbożnicy...

– To chcesz mnie opuścić, Aaronie? – zaniepokoiła się Miłka.

– Niestety, muszę wracać i dotrzeć do posłów, Miłosza i twojego brata... braci. Oni to przyjadą po ciebie. W drodze powrotnej muszą tu zboczyć, aby trafić do ciebie. Beze mnie nie dokonają tego. Tym zacnym ludziom – Aaron wskazał palcem na siedzących kudłaczy – oddałem, to co było dla mnie najświętsze – kamień, na którym... Ale nie samym kamieniem człowiek żyje,

więc po kilka denarów dać musiałem, więcej obiecałem. Niech Bóg mi to wynagrodzi, bo na ludzi trudno liczyć. Przypomnę ci jednak twoje słowa wypowiedziane tam na polanie nim usnęłaś. Zawsze hojną byłaś, a i męża będziesz mieć znanego z dobroci... Obiecałem im, że za ochronę ciebie, córeczko, dam im tyle złota, ile waży ten kamień, a niech ich Wales pochłonie!

– Pamiętam. Wynagrodzę, nie musisz się obawiać.

Uspokojony słowem dziewczyny Aaron wstał i rzekł do kudłaczy.

– A teraz dajcie nam wody, a lepiej wina, jeśli macie, i strawy, bo głodni jesteśmy, jak wilki... Konie też trzeba rozsiodłać i napić!

Bracia wstali. Żeron podrapał się po brodzie i rzekł:

– Damy, co mamy...

Żaba podrapał odruchowo swoją brodę w tym samym miejscu, co starszy brat i zawtórował:

– Damy, co mamy...

Kiedy nadeszła upragniona noc, Miłka najedzona lecz zmęczona położyła się na klepisku z pęczkiem siana pod głową i zasnęła. Wstała skoro świt, lecz Aarona już nie było. W nocy zabrał oba konie i odjechał.

* * *

Czerwona, nabrzmiała krwią twarz Rodryka nie wróżyła nikomu nic dobrego. Ucieczka tak ważnego jeńca, za którego można było wytargować od Gerona dobrą posadę lub wręcz zamek i ziemię, doprowadziła go do furii. Jednego ze strażników zabił łamiąc mu kręgosłup szyjny, drugiego kazał zakuć w dyby i wymierzyć sto batów. Nim jednak to uczynił kazał ich wezwać przed swoje oblicze. Klęczeli przerażeni, półnadzy, pobici, zakrwawieni.

Rodryk chwycił jednego z nich za brodę i podniósł wysoko, tak że twarze ich prawie się dotykały.

– Znikła, rozplynęła się, nie wiecie jak się to stało? Bydlaki, gdzie byliście? Spaliście, albo byliście z nią w zмовie? Tak było?

– Nie, szlachetny panie, zaklinam się, że to jakieś czary. Ona, ta młoda, cały czas była w komnacie, nigdzie nie wychodziła. Przysięgam... To stara Olga rzuciła na nas czary, omamiła. Litości, panie! Przysięgam, że ona, ta

czarownica, wychodziła z pałacu, obaj to widzieliśmy... – chrypiał niedawny strażnik dusząc się.

– Wychodziła? A kto w łożu był, nie ta stara wiedźma? – ryknął Rodryk uderzając pięścią w twarz nieszczęśnika. Cios był silny, bo strażnik potoczył się pod nogi otaczających ich gapiów.

– A ty, co powiesz? – Rodryk chwycił za włosy drugiego strażnika i pokręcił jego głową.

– Panie – wołał nieszczęśnik – przysięgam, że stara wychodziła z mnichem, widziałem na własne oczy. To jakieś niepojęte...

– Z mnichem? A gdzież on? Obaj kłamiecie! – Nie, panie nasz!

– Dawać mi tu starą! – wrzasnął rozwścieczony graf. Dwóch zbrojnych wyszło w pośpiechu i po chwili wrócili wlokąc za sobą Olgę. Ze strachu miała wykrzywioną twarz, wyglądało, jakby się śmiała, pokazując przy tym brak zębów.

Rodryk podszedł do niej.

– Służyłaś u mnie dwa lata, teraz cię oskarżają o czary. Przyznajesz się, że sprzęgłaś się z diabłem?

– Z diabłem? – Olga splunęła na posadzkę – a tfuj, z diabłem! Toż to czcze wymysły, ja z diabłem... W tych głupich łbach im się pokręciło...

– A jakże to możliwe, że wyszłaś, kiedy zastano cię w łożu?

– Nie wychodziłam, panie, przysięgam, nie wiem, jak się znalazłam w łożu... Ta mała musiała mi coś wlać po kryjomu do kubka, pewnie coś na sen... Obudzili mnie, panie, twoi ludzie...

– A mnich?

– To święty mąż, w Ziemi Świętej był...

– Łżesz!

– Nigdy bym nie śmiała...

– Miałaś nikogo nie wpuszczać, pilnować jej jak oka w głowie, tymczasem ona uciekła razem z mnichem! Głupia babo, dałaś się oszukać!

– Straż była, czemuż jej nie upilnowali, tylko ja stara miałam to uczynić?

Zza pleców grafa odezwał się rajca miejski Jurgens, będący na stałym żołdzie Rodryka.

– Dobrze prawi, baba głupia i stara, nie wiele może. Chyba, że udowodnią jej czary... ale sroga kara należy się wojennym, gdyż to oni przepuścili mnicha i tą starą. Złamali rozkazy twoje, grafie...

Rodryk odepchnął Olgę. Ponownie jego fala gniewu skierowała się na klęczących strażników. Podszedł do jednego z nich i podniósł za brodę.

– Tyś był starszy i odpowiedzialny i ty poniesiesz karę! – Rodryk wykręcił głowę trzymanego tak, że ten zawył z bólu.

– Panie, daruj... a.. a.. a... boli! – zdążył jeszcze powiedzieć strażnik, potem zachrypiął i zrobił się wiotki. Kiedy Rodryk go puścił, upadł na posadzkę, zatrzepotał rękami i silne drgawki przeniosły się na jego nogi. Trwało to chwilę, po której zastygł z otwartymi mętnymi oczami patrzącymi gdzieś na wielką rozetę na suficie. Z jego dłoni wypadł mały kamień.

– Tego w dyby i sto batów! – graf wskazał na drugiego strażnika, młodego jeszcze człowieka. Na nic zdały się jego błagania o litość, dwaj słudzy uchwycili nieszczęśnika i wywlekli z komnaty.

Wtedy wystąpił kapelan a zarazem spowiednik Rodryka. Zaciskając dłonie w pięść, rzekł cicho:

– Panie, odwołaj ten rozkaz i pomyśl. Tu padł poważny zarzut, że stara Olga dokonała czarów, kto robi czary z diabłem się łączy i diabła jest sługą. Jeśli to czarownica, to jakąż mamy gwarancję, że szkody nam nie narobi, ludzi nie omami, do złego nie doprowadzi? Trzeba to osądzić, dojść do prawdy. Jest ona czarownicą, czy nie?

– Co zatem radzisz?

– Sąd jest potrzebny...

– Pod sąd, pod sąd, to czarownica, jakby mogła wyjść z pałacu i zarazem w łóżku być – padły głosy.

Rodryk spojrzał na Olgę.

– Jesteś czarownicą? - spytał podejrzliwie.

– Na Welesa, nie! – zawołała stara niewiasta przerażona coraz bardziej.

Kapelan zrobił dwa kroki do przodu.

– Słyszysz, panie? Na Welesa przysięga!

– A któż to taki?

Młody mnich stający z tyłu za kapelanem pospieszył z wyjaśnieniem.

– Weles to diabeł pogański, niechybnie z nim zawarła pakt...

Rodryk przeżegnał się i ucałował własne dłonie.

– Macie chyba rację, zamknijcie ją! Strażnika całego zatrzymajcie do czasu, aż złoży zeznania. A wy z sądem uwińcie się szybko! – Rodryk odwrócił się i wyszedł z komnaty, zabierając ze sobą starszyznę.

Rozdział II

Pogoń za zbiegłą rozjechała się we wszystkie strony, jednak główny kierunek poszukiwań zmierzał ku granicy ziem Mieszka, podejrzewając, że dziewczyna będzie dążyła do szybkiego znalezienia się pod opieką Polan. Rodryk od razu chciał wziąć udział w pogoni, ale sprawy państwowe, z rozkazu margrabiego, nie pozwalały na to. Opóźnił zatem swój udział, aż uzyskał zgodę od Gerona. Za schwytanie żywej lub martwej uciekinierki wyznaczył dużą nagrodę, to też chętnych do pogoni miał wielu. Kilka sztuk miedziaków otrzymał też pewien człowiek, który znalazł w krzakach suknię i zniszczony habit. Innych śladów, prócz kilku piór kruka, nie znaleziono, gdyż burza i ulewny deszcz zamieniły suchy grunt w błoto. Znalezienie habitu potwierdzało wersję zakutego w kajdany strażnika, że w ucieczce pomógł zakonnik. Wielu jednak przekonywało, że stara Olga zamieniła niewolnicę w mnicha i korzystając z pomocy złego Welesa, pozwoliła jej uciec. Sama zaś wróciła do komnaty korzystając chyba z czarów lub nawet – jak twierdził rajca Jurgens – zamieniona w kruka. Uzyskawszy postać ludzka, położyła się do łóżka, gdzie ją znaleziono śpiącą. Za tą wersją miało przemawiać znalezienie kilku czarnych, kruczych piór również w pobliżu legowiska Olgi. Skoro strażnik przysiągł, że to stara Olga wyszła razem z nieznanym mnichem, to jak mogła się znaleźć w łóżku zamiast niewolnicy? – argumentował rajca i pytał gromkim głosem. – A kim był mnich jeśli nie niewolnicą?

Większość kiwała głowami, choć bez szczególnego przekonania, godząc się z wywodami wygadanego rajcy. Czynili to bojąc się podać własnej wersji wydarzeń, aby nie narazić się niebezpiecznemu i ustosunkowanemu w tym mieście urzędnikowi.

Rodryk naciskał, by sąd nad Olgą odbył się szybko. Tego zdania był też jego kapelan i spowiednik, zwany Bratem Czarnym, który liczył na stanowisko sędziego tworzącego się sądu nad współpracującymi z mocami piekielnymi, czarownicami i innowiercami, co pozwoliłoby mu wystąpić w przyszłości o godność biskupa.

Pod naciskiem Rodryka już nazajutrz po uwięzieniu Olgi zebrał się sąd. W ponurej sali w podziemiach pałacu Rodryka ustawiono stoły i krzesła dla duchowieństwa i możnych oraz kilku wybitniejszych mieszczan, z którymi się liczone ze względu na ich bogactwo. Ci zaś czuli się zaszczytzeni i w pas kłaniali się grafowi, licząc na uzyskanie szlachectwa i znacznych godności dla siebie lub kogoś z rodziny. Na środku sali, w sposób widoczny dla wszystkich – ustawiono zydła dla oskarżonej o czary.

Wprowadzono ją wystraszoną, otępiałą, ze skrzywieniem ust podobnym do szyderczego uśmiechu. Olga nie szamotała się, nie broniła, szła pokorna, sparaliżowana strachem. Kazano jej usiąść na zydłu.

Duchowny, zwany Czarnym Bratem, który przybrał czarne szaty z czerwonymi wypustkami, był dumny ze swojej roli, spełniło się jego marzenie. Nadęty jak paw zwałił swoje nadmierne ciało na fotel, przestawił w prawo stojący krzyż zasłaniający mu widok oskarżonej i rozpoczął przesłuchiwanie.

Początkowo głos jego chrypiał z emocji, wszak był najważniejszą tu osobą, panem życia i śmierci. Potem jednak, w miarę rozwoju sytuacji, głos jego nabierał pewności siebie, stawał się ostry i rozkazujący.

Oskarżycielem w procesie był Eryk, młody zakonnik przybyły niedawno z Hiszpanii.

– Oskarżamy cię o to, że korzystając z mocy diabła, nazwanego Welesem – mówił przejęty swoją niespodziewaną, odpowiedzialną i zaszczytną rolą. – Umożliwiłaś chorej Bratomile, córce Budziwoja, poddanej naszego pana, szlachetnego Rodryka, bez jego zgody ucieczkę z pomieszczeń pałacu. Sama zaś, korzystając z diabelskiej mocy, wróciłaś prawdopodobnie jako kruk i ległaś w łóżu zamieniona w dziewczynę. Uczyniłaś to, by zmylić strażę. Czy przyznajesz się do winy oraz do konszachtów z diabłem? Przyznajesz się do czarów?

Olga milczała. Słowa oskarżyciela nie docierały do niej. Zalekniona patrzyła w jeden punkt na kamiennym bruku podłogi, jakby ten robak poruszający się niemrawo w fudze między kamieniami, którego widziała, był teraz najważniejszy.

– Czy przyznajesz się do winy? – nacierał młody mnich.

Mocne uderzenie przez jednego ze strażników pozwoliło Oldze wrócić do przytomności.

– Co? jak? Nie... nie wiem... – wyksztusiała, zupełnie zagubiona, nie wiedząc, o co chodzi i dlaczego ten mnich do niej krzyczy.

– A więc nie! – wrzasnął mnich, szczęśliwy, że czarownica nie przyznała się do winy i będzie mógł przeprowadzić dowód, w tej tak oczywistej sprawie. Gdyby się od razu przyznała, zniweczyłaby mu starannie przemyślane dowody jej winy.

Pierwszym świątkiem był więzienny strażnik. Wyglądał w sposób godny pożałowania, odziany w worek, z łańcuchami u nóg, z sińcami od bicia, szedł wlokąc nogi z brzękiem kajdan.

– Czy potwierdzasz to, coś poprzednio zeznał, iż ta oto stara niewiasta, oskarżona o czary, zamieniła niewolnicę w mnicha i umożliwiła jej opuścić pałac?

– Tak chyba było, panie... Chociaż... – krew ciekąca z ust nie pozwoliła strażnikowi mówić, seplenił z trudem przez otwory w dziąsłach, z których wybito mu zęby.

– Czy ty i twój towarzysz byliście cały czas na warcie?

– Tak, panie.

– Nie schodziliście z posterunku?

– Nie, panie.

– Czy do komnaty, w której przebywała oskarżona, prowadzą tylko jedne drzwi?

– Nie inaczej...

– Czy ktoś je otwierał może?

– Nie, panie.

– Czy po ścianie budynku mogła oskarżona wdrapać się, dostać się do okna i przez nie wejść do komnaty?

Pytany spojrział na Olgę siedzącą nieruchomo, z głową opuszczoną na piersi.

– To niemożliwe, panie...

– A więc nikt nie wszedł do komnaty po wyjściu tych dwoje: mnicha i tej oto niewiasty? – oskarżyciel wskazał palcem na Olgę.

– Przysięgam, że nikt, panie.

– Jak więc tedy ta niewiasta znalazł się w łożu niewolnicy skoro wyszła z pałacu?

Strażnik Hamer rozłożył bezradnie ręce.

– Panie, nie pytajcie mnie, ja nie wiem, jam głupi pacholek tylko...

– Zapytam wprost: czy to ta kobieta wyszła z pomocą diabła i niewolnicą przebraną za mnicha?

– Tak, panie, to ona wyszła, lecz mnich był prawdziwy... – zaczął się jąkać strażnik, ale oskarżyciel nakazał mu milczenie.

Eryk powiódł dumnym spojrzeniem po obecnych. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na Rodryku, który z zadowoleniem kiwnął głową. Mnich ponownie zwrócił się do strażnika, któremu z brody ciekła krew.

– A więc bez czarów nie mogła się dostać do komnaty?

Świadek milczał, więc oskarżyciel sam sobie odpowiedział:

– Nie mogła!

Mnich podszedł do strażnika.

– Powiedz mi, czy słyszałeś jakieś nawoływanie, krakanie, głosy kruka, wszak znasz krakanie kruka?

– Kruka? – zdziwił się pytany po raz pierwszy odważając się podnieść głowę. – Kruka? Kruka?

– Kruka.

– Panie, pełno tu na dachach i w wieżach wron, gawronów, kawek i kruków...

– Ale głos kruka możesz odróżnić? – trochę niespokojnie zapytał mnich.

– No... niby tak... Nie wiem jednak do czego zmierzacie, panie...

Mnich podszedł do stołu i podniósł dwa pióra.

– Oto dwa pióra zabrano z miejsca, gdzie odnaleziono zrzucone szaty. Te pióra są identyczne z piórami znalezionymi przy oskarżonej. Możesz mi wyjaśnić skąd one się wzięły?

– Ja, panie?

– Nie wiesz?

– Nie, panie.

– A może ty niewiasto wyjaśnisz sądowi, skąd te pióra znalazły się u ciebie i na miejscu ucieczki córki Budziwoja? – oskarżyciel podszedł wprost do Olgi

i podniósł jej głowę tak, aby miała pióra przed oczami. – Wszak to twoje pióra?

Olga miała łzy w oczach. Patrzyła na czarne paski piór usiłując sobie coś przypomnieć. Wreszcie wyszeptała:

– To mojego kruka pióra, oswojony był... Nosłam je, by złego odgonić...

Mnich ponownie podniósł pióra i z triumfem oznajmił:

– Oto dowód, że ta oto niewiasta była na miejscu, gdzie te pióra znaleziono. Skąd zatem nagle znalazła się w łożu? – mnich milczał długo, jakby oczekiwał od obecnych odpowiedzi. Osiągnął zmierzony efekt napięcia, gdyż cisza jaka zapanowała była tego dowodem.

– To tylko mogło być za sprawą czarów! – wrzasnął mnich uderzając dłonią w stół.

Rozległ się szmer aprobaty. Sędzia poprawił toę i spojrział na Rodryka. Ten siedział głęboko w krześle i kiwał z uznaniem głową. Czarny Brat pomyślał, że nie doceniał dotąd Eryka. „Będę musiał na niego zwrócić uwagę i krócej trzymać. Może być i dla mnie niebezpieczny. Wyślę go do klasztoru, niech tam nawet opatem zostanie, byle nie kręcił się po dworze pana” – zdecydował w myślach.

– Czy oskarżona przyznaje się do rzucania czarów?

– Tego, bracie Eryku, jeszcze nie usłyszałem od oskarżonej – odezwał się donośnie Czarny Brat, aby przypomnieć wszystkim, kto tu najważniejszy.

Oskarżyciel stropił się, gdyż wydawało mu się, że winę niewiasty dostatecznie udowodnił, nie spodziewał się takiego pytania od głównego sędziego. Rozpoczęły się pytania i krzyki, a także szturchańce udzielane oskarżonej, wszystko to miało na celu uzyskanie od Olgi przyznania się do czarów. Ale stara, zalekniona niewiasta, milczała wpatrując się w robaka w fudze podłogi. W zaciśniętej dłoni coraz bardziej ścisnęła kamień sprzedany jej przez świętego męża przybyłego z Ziemi Świętej. Nie myślała o niczym, była otępiała, nie w pełni świadoma, co się koło niej dzieje. Przed wejściem do sali rozprawy była bita tak, że ledwo mogła chodzić. Teraz, siedząc, ból zelżał i popadła w odrętwienie.

Oskarżyciel stał nad nią i wymachując rękami coś wrzeszczał, ale ona nic nie słyszała i nie rozumiała. Nawet nie mogła podnieść ręki, aby zrobić na żądanie mnicha znak krzyża na piersi.

Brat Eryk postanowił sięgnąć po ostateczny argument. Skłonił się nisko Rodrykowi i rzekł:

– Panie, pozwól powołać na tu świadka, zacnego Jurgensa, rajcę miejskiego, ważne zeznania może on złożyć. i przesądzić o winie oskarżonej.

Sędzia chrząknął wymownie. Stanowczo postanowił pozbyć się tego młokosa, który wyraźnie go lekceważył. Wszak obyczaje nakazują, że oskarżyciel powinien uzyskać zgodę sędziego na zwrócenia się do grafa. Czarny Brat chrząknął ponownie głośno i nie ukrywając gniewu nie omieszkał udzielić reprimendy oskarżycielowi.

– Wzywam was, bracie Eryku, do przestrzegania czystości sądowej. Uważam za właściwe zwrócić się z prośbą do szlachetnego pana, naszego grafa, Rodryka, który zaszczyił nas swoją obecnością na tym procesie, ale zgodę na takie zwrócenie może wydać tylko sąd... czyli ja. – Czarny Brat grubym palcem ozdobionym dwoma pierścieniami wskazał na swoją okazałą pierś.

Młody mnich z pokorą schylił głowę.

– Racz wybaczyć mi ten nietakt, panie grafie, i ty dostojny i świętobliwy sędzio, więcej się już to nie powtórzy. Zwracam się zatem do was, panie sędzio, o zgodę na zwrócenie się do miłościwego grafa o zgodę na powołanie świadka Jurgensa...

Czarny Brat szykował się do dłuższego przemówienia i w myślach układał słowa.

– Sąd nasz powołany z woli Boga... – zaczął.

Graf jednak nie myślał wysłuchiwać tyrady sędziego. Pokręcił się na krześle zniecierpliwiony i nie czekając na dalsze słowa sędziego kiwnął dłonią na Jurgensa mówiąc:

– Jurgens, teraz twoja kolej, a spisz się dobrze!

Sędzia zaczerwienił się, zgniótł w sobie złość patrząc z nienawiścią na oskarżyciela, który swoją niezręcznością naraził go na taki afront.

Jurgens wyszedł na środek i złożył niski ukłon.

– Jestem, panie.

Brat Eryk podszedł do niego.

- Czy, czcigodny rajco Jurgensie, przysięgasz, że będziesz mówił prawdę?
- Przysięgam!
- Dobrze więc. Czy znasz tę niewiastę, którą oskarżamy o czary?
- Znam dobrze. Służyła na dworze naszego pana, grafa Rodryka. Miała opiekować się, z rozkazu pana, Bratomilą córką z rodu Budziwoja.
- Czy widziałeś ją panie, kiedy przybyła do nas?
- Tą młodą?
- Tak.
- Powiedz nam, tu obecnym, czy wtedy widziałeś ją chorą, czy też zdrową?
- Była zdrową i piękną...
- A zatem była zdrowa i nic nie wskazywało, że będzie chorą?
- Nic. Zdrową była i silną. Takich ludzi choroby nie imają się łatwo.
- Jak wszyscy wiemy, zmogła ją nagle jakaś tajemnicza choroba. Powiedz nam, panie, jaka przyczyna mogła być jej słabości?

Nagle oczy Jurgensa nabiegły krwią i ku zaskoczeniu wszystkich podbiegł do Olgi i uchwycił ją za włosy. Potrzęsając głową staruszki krzyczał ze złością.

- To ona, ta czarownica, to zrobiła, niemoc na nią rzuciła. Tak nagle dziewczyna zachorowała, padła bez sił. Zbrzydła, a taką piękną była. Z zazdrości to zrobiła. Sam słyszałem jak stara mówiła: „Krasa ona, chciałabym taką być” Mówiła to z zawiścią i to kilka razy powtórzyła. Choroba się zaczęła, kiedy ta stara czarownica przysłała przysłana przez diabła, by na szkodę naszego pana działać. Wszak wszyscy to słyszeliśmy, że wołała diabła po imieniu. Wszyscy możemy to zaświadczyć – Jurgens zasapał się i zamilkł, wodząc pytająco wzrokiem po obecnych.

Olga opuściła głowę i usta jej poruszyły się w szepcie jakiejś modlitwy. Wydawało się, że grymas na twarzy oznaczał śmiech.

Rozległy się okrzyki i pomruki.

- Nie cackać się z czarownicą, na stos z nią, spalić ogniem, bo jakieś nieszczęście na nas sprowadzi!

Jurgens ponownie zaczął krzyczeć.

– Patrzcie, ona się z nas śmieje! Za nią stoi szatan, widzę go, to ona jako kruk wróciła i w łóżko legła. Spalić ją, spalić, bo na nas, na nasze dzieci i domy przekleństwo rzuci! Chcecie jeszcze innego dowodu? Oto jest! – Jurgens podbiegł do stołu i pochwycił stojący krzyż, który nagłym ruchem podsunął Oldze. Wystraszona niewiasta myśląc pewnie, że ten szalejący mężczyzna chce ją uderzyć impulsywnie odsunęła twarz, krzywiąc się jeszcze bardziej.

Jurgens triumfował.

– Oto dowód! Czy strach przed krzyżem i to skrzywienie ze wstrętem twarzy nie jest dowodem bluźnierstwa? Czego się boi ta czarownica, co ją wstrętem i strachem napawa? Krzyż święty! Czego więcej potrzeba, panie sędzie? Wydajcie wyrok!

Jurgens wrócił do ław i usiadł zasapany i zmęczony, ale zadowolony. Brat Eryk uśmiechał się. Wybuch Jurgensa zrobił wielkie wrażenie i wina Olgi była udowodniona ponad wszelką wątpliwość. Stał dumnie z oczami płonącymi radością, czuł się dobrze w roli oskarżyciela i wiedział że spełnił swoją misję w sposób budzący ogólne uznanie. Stał w taki sposób, aby nie urazić sędziego, ale i tak, aby graf nie był obrażony. Wiedział, że na sali nie sędzia jest najważniejszy, a Rodryk. Patrząc gdzieś w narożnik komnaty zawołał:

– Wydajcie zatem wyrok!

Sędzia z trudem podniósł się, gdyż krzesło było zbyt wąskie do jego tuszy, więc wyszarpanie zwalistego ciała z jego objęć było zadaniem dość trudnym. Uporawszy się z tym problemem, chrząknął i patrząc na zebranych zapytał.

– Czy ktoś chce przemówić w obronie tej oto niewiasty oskarżonej o czary?

Zapanowała chwila ciszy. Nikt się nie podniósł. Sędzia znów chrząknął, otarł pot na czole i rozpoczął swoją rolę od słów:

– Zebraliśmy się tutaj, w imię sprawiedliwości, w przeświadczeniu, jako, że my z woli naszego pana, tutaj w tej komnacie, jakby nie było...

Nie miał jednak szczęścia Czarny Brat. Jego słowa sędziego brutalnie przerwał Rodryk. Podniósł się z fotela i przeciął powietrze nagłym ruchem ręki.

– Spalić! – rzekł krótko i nie zwracając już uwagi na sędziego, którego twarz stała się purpurowa, skierował się ku wyjściu. Za nim wyszli i inni. Sędzia upadł na krzesło. W oczach miał łzy – bezradnie patrzył za wychodzącymi. Były to najgorsze chwile w jego dotąd wygodnym i pełnym oznak szacunku życiu. Po chwili w komnacie zostali tylko on, brat Eryk, skryba i Olga, za którą stało dwóch strażników.

Czarny nietoperz przeleciał nad ich głowami i zniknął za belką stropu.

* * *

Dzień zapowiadał się pięknie. Lekki wiatr od zachodu przynosił zapach pobliskiego lasu, miejsce polowań margrabiego. Jaskółki uwijały się w pogoni za owadami i wpadały pod oświetlone porannym słońcem dachy domostw. Z kominów snuły się dymy, prawie strzeliście prosto w niebo. Deszcz, który przeszedł wczoraj, nie zrobił żadnej szkody, odwrotnie – zmył wielodniowy brud i ulice miasta stały się bardziej czyste. Z kościołów dochodziły głosy dzwonów nawołujące wiernych do porannej modlitwy. Z domów wychodziły przeważnie kobiety udając się do miejskich studni po wodę lub wylewały nocne nieczystości do rowów ulicznych.

Pracę swoją zaczynali już żebracy, jeszcze zaspani, leniwi, a już czujni na widok każdego lepiej ubranego przechodnia. Bramy miasta były już dawno otwarte, a strażnicy miejscy przepuszczali ludzi, bez szczególnego zainteresowania. Zнали prawie wszystkich wjeżdżających – byli to miejscowi handlarze warzywami, ziołami i mięsem z domowego uboju. Niektórzy wieźli drewno na opał lub beczki z piwem i winem. Ci ostatni byli prawie zbratani ze strażnikami, którzy wyciągali ręce po napełnione trunkiem dzbany. Bramę przekraczało wielu żebraków spotykanych potem na schodach kościołów. Gdzieś z bocznych ulic dochodziły szczekania psów lub tętent koni.

Na miejskim placu stały przekupki, wśród których kokosiła się stara Magda wykrzykująca groźby i przezwiska pod adresem swojego męża, chudziny, cichego, skromnego i wiecznie wystraszonego karzełkowatego człowieka. Rozstawiała swoje kosze z warzywami i rybami z pobliskiej rzeki. Były to ryby może i nie pierwszej świeżości, choć trzymane w głębokiej jamie ziemnej, gdzie był chłód, bo niemiły zapach rozchodził się daleko. Wszyscy